

Stan i perspektywy relacji niemiecko-amerykańskich

Zwykło się mawiać, że jedyny nowy gospodarz Białego Domu, który nie wprawia Europy w stan podenerwowania, to taki, którego już się zna, najlepiej jako urzędującego prezydenta. „Znane zło – mniejsze zło” – powiedział Timothy Garton Ash. W przypadku Baracka Obamy w grę wchodziło również niemalże powszechne dla niego poparcie wśród europejskiej opinii publicznej, która – gdyby to od niej zależało – w blisko 90% głosowałaby na kandydata Demokratów, a nie Mitta Romneya z Partii Republikańskiej. Ten stopień akceptacji dla pierwszego czarnoskórego prezydenta Stanów Zjednoczonych dotyczył także Niemców. Można zatem zadać pytanie, czy taki wysoki wskaźnik poparcia i sympatii dla Obamy w Niemczech odzwierciedlał rzeczywisty stan relacji amerykańsko-niemieckich po czterech latach jego urzędowania w Białym Domu i czy oznacza to, że zwycięstwo wyborcze Obamy to dobre perspektywy dla tych stosunków.

Zaczynając od bilansu relacji na linii Berlin-Waszyngton w ostatnich czterech latach, to należy je ocenić w kontekście generalnej zmiany polityki amerykańskiej wobec Europy. Administracja Obamy oczekiwała od swych europejskich sojuszników rzeczywistego partnerstwa, czyli zwiększonego udziału i zaangażowania w rozwiązywaniu kluczowych problemów międzynarodowych. Niemcy zaś były postrzegane nad Potomakiem jako państwo, które z racji swego potencjału i pozycji na arenie europejskiej powinno stać się wręcz inicjatorem i motorem rosnącej aktywności Europy/Unii Europejskiej w wymiarze globalnym, podejmującym różne problemy i wyzwania.

Nr 110 / 2012
06'12'12

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Instytut Naukowo-Badawczy,
Poznań

Autor:
Jadwiga Kiwerska

Redakcja:
Marta Götz
Radosław Grodzki
Krzysztof Malinowski

Przede wszystkim chodziło o zwiększenie wysiłku wojskowego Niemiec w Afganistanie, ale też o zaangażowanie Berlina w przezwyciężeniu kryzysu gospodarczego. Stąd m.in. wyjątkowa oprawa, jaka towarzyszyła wizycie kanclerz Angeli Merkel w Waszyngtonie na początku listopada 2009 r. Sam fakt, że jako zaledwie drugi w historii stosunków niemiecko-amerykańskich kanclerz RFN miała zaszczyt wystąpić przed połączonymi izbami Kongresu, był znamienity. Podobnie oceniono uhonorowanie Merkel w czerwcu 2011 r., podczas jej kolejnej wizyty w Waszyngtonie, najwyższym amerykańskim odznaczeniem cywilnym *Presidential Medal of Freedom*. Były to niewątpliwie bardzo spektakularne wydarzenia, ale nie przełożyły się one na jakieś wyjątkowo bliskie relacje osobiste Merkel-Obama. Komentatorzy dość zgodnie podkreślali, że tych dwoje dzieli pewien uprzejmy dystans i powściągliwość, których źródeł dopatrywano się m.in. w negatywnej reakcji Merkel w lipcu 2008 r. na pomysł, aby ubiegający się wówczas o prezydenturę senator Obama, w ramach swego przedwyborczego wojażu, wystąpił w Berlinie przed Bramą Brandenburską. Uwadze obserwatorów nie umknęło również i to, że prezydent Obama w czasie całej swej pierwszej kadencji zaledwie dwa razy odwiedził Niemcy i nigdy nie była to wizyta państwowa, a bardziej „przy okazji”, jak choćby w 2009 r. na szczycie NATO.

Także w wymiarze politycznym trudno powiedzieć, aby stosunki niemiecko-amerykańskie zyskały w ostatnich czterech latach szczególny charakter. Po pierwsze, stały się one wypadkową ogólnego rozczarowania Ameryki jej europejskimi sojusznikami, którzy nie spełnili pokładanych w nich nadziei na pełnienie roli ważnego gracza na arenie międzynarodowej. W przypadku Niemiec chodziło m.in. o utrzymującą się wstrzeźliwość Berlina w angażowaniu większych sił w Afganistanie oraz podejmowaniu tam działań bojowych. Dopelnieniem tego była reakcja rządu niemieckiego na legitymizowaną rezolucją Narodów Zjednoczonych operację zbrojną NATO w Libii wiosną 2011 r. Niemcy nie tylko wstrzymały się od głosu (wraz z Rosją i Chinami) w momencie głosowania nad rezolucją w Radzie Bezpieczeństwa, ale odmówiły też udziału w operacji libijskiej. W konsekwencji stały się one głównym adresatem krytyki, jaką wobec części europejskich sojuszników skierował Robert Gates w czerwcu 2011 r. Amerykański sekretarz obrony nie tylko miał wówczas pretensję o to, że jedynie niewielka część państw członkowskich NATO uczestniczyła w zbrojnej operacji na terytorium Libii, ale także zarzucił europejskim sojusznikom, w tym szczególnie Niemcom brak woli wnoszenia większego wkładu w obronność i bezpieczeństwo. Europa – zdaniem szefa Pentagonu – nadal pozostaje w roli aktywnego kibica, cieszącego się równocześnie pełnymi gwarancjami bezpieczeństwa.



Po drugie, na utrzymanie specjalnych relacji na linii Berlin-Waszyngton cieniem położyły się problemy gospodarcze, wywołane kryzysem o skali globalnej. Nie wchodząc w szczegóły, wystarczy wspomnieć, że administracja Obamy liczyła na bardziej skuteczne zaangażowanie Berlina w walkę z recesją, a przede wszystkim przezwycięzenie problemów strefy euro. Nie trzeba przecież dowodzić, że wzajemne ekonomiczne i finansowe powiązania transatlantyckie nie pozwalają separować gospodarki amerykańskiej od europejskiej. Tymczasem kłopoty Unii Europejskiej, którą jeszcze niedawno uważano za potencjalną konkurencję dla Ameryki, stały się przedmiotem silnej irytacji po drugiej stronie Atlantyku. I *vice versa*, gdyż sprawie nie służyły też różne recepty na przezwycięzenie kryzysu: europejska/niemiecka tendencja cięć budżetowych, wymuszanych także wobec innych państw walczących z kłopotami, i amerykańskie „dosypywanie” pieniędzy oraz rosnący deficyt budżetowy Stanów Zjednoczonych. Biorąc pod uwagę fakt, że Niemcy pozostają w dość powszechnym przekonaniu, także w USA, motorem działań w ramach Unii Europejskiej, ich też czyni się szczególnie odpowiedzialnymi na wszelkie niepowodzenia w walce z kryzysem.

Po trzecie wreszcie, relacje amerykańsko-niemieckie należy także widzieć przez pryzmat zasadniczego przewartościowania priorytetów polityki Stanów Zjednoczonych, jakie dokonało się w ostatnich latach. Powszechnie mówiło się o zmianie amerykańskiej orientacji – z atlantyckiej ku Pacyfikowi (*pivot to the Pacific Rim*). Był to efekt nowej dynamiki współczesnego świata, kształtowanej m.in. przez pełne napięcie, ale i wzajemnego uzależnienia stosunki Stanów Zjednoczonych z Chinami. Dlatego największym wyzwaniem dla polityki Waszyngtonu stał się właśnie rejon Azji, z rosnącą potęgą Chin, z przesuwającym się centrum gospodarczym z Zachodu na Wschód, nasilającym się tam procesem „rozbudzenia politycznego”. W takim kontekście Europa, w tym Niemcy przestały być obiektem szczególnego zainteresowania, a już tym bardziej troski ze strony Waszyngtonu. Bardziej oceniane były przez pryzmat tego, czy i w jakim stopniu mogą wesprzeć Amerykę w jej wysiłkach uporania się z azjatyckim wyzwaniem.

Jakie wobec tego perspektywy rysują się przed relacjami na linii Berlin-Waszyngton? Czy możemy spodziewać się jakiegoś zasadniczego zwrotu, czy może sprawy toczyć się będą dotychczasowym, aczkolwiek stabilnym, to jednak niezbyt owocnym torem?

Niewątpliwie Stany Zjednoczone pozostaną ważnym punktem odniesienia dla polityki Berlina, ale nie zawsze i koniecznie najważniejszym. Ten koncentrować się będzie przede wszystkim w Europie/Unii Europejskiej. Nie oznacza to osłabienia lub zmiany orientacji atlantyckiej. Jednak relacje niemiecko-amerykańskie, choć



odwołujące się do wspólnych zasad i wartości, będą w dużej mierze stanowiły pragmatyczny układ określony przez te same cele i współpracę, zwłaszcza w ramach NATO oraz w odniesieniu do pewnych problemów i wyzwań globalnych. Przy czym zniknąć będą lub ulegać ograniczeniu niektóre strefy wspólnego zainteresowania, jak będący przedmiotem kontrowersji Afganistan, z którego do 2014 r. planuje się wycofać wojska NATO, inne natomiast podlegać będą intensyfikacji zgodnie z dynamiką zmian na świecie. I teraz w zależności od tego, jaka będzie gotowość Niemiec do odgrywania aktywnej roli na arenie międzynarodowej, także w wymiarze wojskowym, podejmowania zobowiązań i odpowiedzialności, będzie się kształtować rola i ranga Berlina w polityce amerykańskiej. Im więcej wspólnych działań i tożsamy interesów, tym silniejsza będzie więź między Waszyngtonem a Berlinem, przekładająca się na mocniejszy układ transatlantycki.

Chodzi bowiem także o to, aby Berlin mógł być postrzegany jako państwo, które z racji swego potencjału i pozycji na arenie europejskiej jest inicjatorem i motorem rosnącej aktywności Europy/Unii Europejskiej w świecie, a także liderem skutecznej walki z kryzysem gospodarczym i problemami dezintegrującymi Unię Europejską. Jest to ważne tym bardziej, że głównym kryterium oceny „przydatności” i wagi partnera – w kalkulacjach amerykańskich – będzie jego gotowość do podejmowania zobowiązań i wyzwań globalnych u boku Ameryki lub w jej zastępstwie oraz skuteczność w rozwiązywaniu problemów. W tej kwestii administracja Obamy zachowa swą dotychczasową linię oceniania sojuszników europejskich.

Podobnie jak obiektem szczególnego zainteresowania i troski administracji Obamy w drugiej kadencji pozostanie region Dalekiego Wschodu. Jakkolwiek słynny *pivot to Pacific* należy traktować także w wymiarze zgrabnego zwrotu retorycznego, to jednak stanowi on wydarzenie o dużym znaczeniu. Ta zmiana orientacji polityki amerykańskiej może jednak być zdyskontowana przez europejskich sojuszników i wcale nie musi oznaczać wyeliminowania spraw europejskich z amerykańskiej optyki lub dalszego osłabienia rangi Europy w kalkulacjach administracji Obamy. Czyż zainicjowana przez Berlin debata nad wspólną strategią Unii Europejskiej wobec Chin i wyzwań, które utożsamiamy z tym gospodarczym gigantem, nie byłaby dobrym sposobem umocnienia swej roli i znaczenia w polityce amerykańskiej? Wspólne podjęcie z Ameryką chińskiego wyzwania byłoby też doskonałą formą umocnienia więzi transatlantyckich, nadania temu układowi nowego impulsu.

Równocześnie trzeba pamiętać o jednym – tak jak Waszyngton nie może już budować stosunków z Berlinem na przekonaniu, że na Niemcy można zawsze liczyć, tak RFN nie zrezygnuje z bardziej asertywnej wobec Stanów Zjednoczonych polityki



oraz w pełni samodzielnego określania swych działań wobec innych ważnych punktów odniesienia, zwłaszcza Unii Europejskiej, ale też Rosji. Nie zawsze też będziemy mówić o wspólnocie interesów Ameryki i Niemiec. Częściej zaś o sprzeczności i braku koherencji, zwłaszcza wówczas gdy Niemcy będą utożsamiały się z priorytetami Unii Europejskiej. Jednak wyraźniejsze różnicowanie się interesów amerykańskich i niemieckich/europejskich, szczególnie w sferze gospodarczej, wcale nie musi oznaczać zasadniczego sporu. Trzeba jedynie mieć świadomość, że w takim kontekście kształtowane będą w najbliższej przyszłości relacje amerykańsko-niemieckie.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

Publikacja dofinansowana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Stowarzyszenie Instytut Zachodni.

